

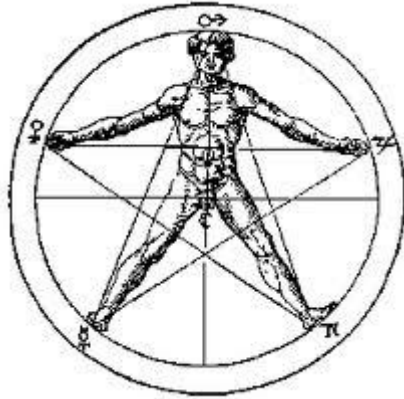


PEN  
TAG  
RAM

antologia grozy

Marek Dryjer

**MAREK DRYJER**



**PENTAGRAM**

**ANTOLOGIA GROZY**

© Copyright by Marek Dryjer & e-bookowo  
ISBN 978-83-7859-055-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

PATRON MEDIALNY



**T w o j a k u l t u r a . p l**

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2012

## Spis treści

Wprowadzenie .....	5
Trzynasty schron.....	7
Miasto umarłych ludzi .....	31
Dzielnica ślepców i Mersaultów.....	51
Dziesięcina.....	84
Bezprawie.....	97

## Wprowadzenie

PENTAGRAM – to zbiór opowiadań nagrodzonych w ogólnopolskich konkursach literackich w latach 2011 – 2012. Antologia grozy składa się z pięciu tekstów. **Trzynasty schron** jest pierwszym z nich, który został nagrodzony jedną z głównych nagród na konkursie literackim *POLSKIE POSTAPO 2011*, organizowanym przez portal *Trzynasty Schron*, stając się częścią pierwszego polskiego, fanowskiego, literackiego uniwersum postapokaliptycznego. Drugie w kolejności **Miasto umarłych ludzi** zostało nagrodzone w konkursie literackim *SECRETUM CALIGO 2012*, organizowanym przez portal *Secretum* i trafiło do konkursowego e-booka. Trzecie, premierowe opowiadanie **Dzielnica ślepców i Mersaultów** jest kontynuacją nagrodzonego wcześniej *Miasta umarłych ludzi*. Czwarty tekst **Dziesięcina** pojawił się w konkursie literackim *W GŁĄB CZASU, W GŁĄB ZIEMI 2012*, organizowanym przez portal *Efantastyka*. Piąte, ostatnie w Pentagramie **Bezprawie** zostało nagrodzone w konkursie literackim *OPOWIEŚCI NIESAMOWITE 2012*, organizowanym przez miesięcznik *Czwarty Wymiar* i opublikowane w kwartalniku *Opowieści niesamowite*.

Pentagram był symbolem znanym już w czasach neolitu, występował jako Gwiazda Isztar, a później jako Gwiazda Izidy. Mistycy pitagorejscy widzieli w nim symbol doskonałości, kojarzyli go z życiem i zdrowiem. W starożytności przekonanie o właściwościach ochronnych pentagramu było tak silne, że Babilończycy często rysowali go na pojemnikach z żywnością, co miało zapobiegać jej gniciu. Dla pierwszych chrześcijan pentagram odzwierciedlał pięć ran Jezusa ze względu na 5 wierzchołków. Od XIV wieku uważany za symbol szatana ze względu na podobieństwo do głowy kozła (odwrócony dwoma wierzchołkami do góry). W XIX wieku Eliphas Lévi podzielił pentagramy na „dobrą stronę” i „złą stronę”. Za „dobrą” uznał ten odwrócony jednym wierzchołkiem do góry, za „złą” odwrócony — zwrócony dwoma wierzchołkami do góry. Pentagram zwrócony jednym wierzchołkiem do góry zwany jest Pentagramem Białym, jest on odzwierciedleniem *sacrum* — siły boskiej. Może również odzwierciedlać pięć zmysłów człowieka, pięć żywiołów: powietrze, wodę, wiatr, ogień i światło, oraz pięć światów: fizyczny, eteryczny, astralny, mentalny i duchowy, ukazując wyższość umysłu człowieka nad wszelkimi innymi żywiołami i zmysłami.

Źródło: Wikipedia / Pentagram

## Trzynasty schron

Z pamiętnika.

Obsydianowy pył zgrzytał między zębami, a mordercze fale gamma pustoszyły ludzkie wnętrza. Ogromna kula ognia niespodziewanie przetoczyła się przez siedemsettyśczne miasto.

*Dzień pierwszy.*

Pół dnia zajęło mi wyjście na powierzchnię, gdzie byłem tylko przez chwilę. Drugą połowę pochłonęło długie i nieskładne myślenie. To co tam zobaczyłem niepodobne było do niczego. Stosy antracytowego gruzu zalegały z każdej strony, burgundowe niebo spalało się od środka, a porywisty wiatr przewalał tumany radioaktywnego kurzu na boki. Oberwałem tym nieprzyjemnie po twarzy. Poczulem gorąco, a gorzki posmak nieznanego dostał mi się do ust. Natychmiast zawróciłem.

Drzwi od schronu były przysypane mialkim pyłem i ciężkim popiołem, który utrudniał ich otwieranie. Z trudem odgarnąłem go nogą, przyłgnał wtedy do buta niczym rzep. Uderzyłem kilka razy zniszczoną podeszwą o metalowy próg, aby się go pozbyć, niewiele to jednak dało. Odpadła tylko odrobina, reszta z wielką siłą wżarła

się w obuwiu. Ostatkiem sił zamknąłem za sobą, te ciężkie i skrzypiące podwoje.

Usiadłem na twardych granitowych schodach w obszernym betonowym przedsionku i skryłem twarz między dłońmi. Poczulem zapach piachu wymieszanego z ziemią, od razu cofnąłem ręce, odgarnąłem też przykurzone włosy. Nie potrafiłem skupić myśli, które niczym robaki w akwariu, ciągle gdzieś uciekały. Szlag by to trafił, zakląłem. Co się do cholery stało? Były to jedyne słowa, które przyszły mi wtedy do głowy.

Pytania bez odpowiedzi, przywykłem już do tego, i do tych wszystkich niechętnych mi spojrzeń także. Już nigdy więcej tak dranie na mnie nie spojrzą, dobrze im tak, głośno się zaśmiałem. Nie... cholera, płacząc, wykrzywiłem twarz w grymasie bólu. Przecież tak nie można.

Co powinienem zrobić, co powiedzieć, albo o czym pomyśleć, tego nie wiedziałem. Całe życie szykowałem się na taki właśnie dzień, z trudem przygotowując to schronienie. Wiedziałem o tym niemal wszystko, a kiedy w końcu to się stało, od razu umknęły niczym szalejący na pustkowiu morderczy wiatr, zarówno wiedza jak i niezawodne dotąd przeczucie. Poczulem się tak jakby mnie ktoś rozebrał do naga, jakby zerwał ze mnie także i skórę, wszystko okropnie szczypało.

Ostrożnie się podniosłem i powoli ruszyłem wzdłuż długiej i chropowatej ściany, o którą się bez przerwy podpierałem, prosto do głównego holu. Nie zapaliłem po drodze ani latarki, ani zapalek, było więc niesamowicie ciemno. Dlaczego tego nie zrobiłem? Ta myśl nie dawała mi spokoju. Co rusz się uderzałem i potykałem. Może bałem



się tego, co zobaczę, a może oszczędność w tej sytuacji dosłownie wszystkiego, wydawała się być najsłuszniejszym rozwiązaniem?

Dotarłem do niedużego polowego łóżka, które chybotło się tuż nad parującą podłogą. Namacałem ręką śpiwór, do którego wsunąłem się po chwili. Przedtem niezwykle ostrożnie zdjąłem przyciężkie buty, nie chcąc roznieść po żelbetonowej posadzce tego, co na nich przyniosłem. Nie wiedziałem z czym mam do czynienia, najgorsze myśli przychodziły mi do głowy. Nawet nie wiem kiedy zasnąłem, tak ciężko mi się oddychało.

Nie pamiętam też snu, ale wiem, że był strasznie męczący, bo ciągle sapałem i podrywałem się do góry. Mokry od lepkiego potu i zrezygnowany, podniosłem się z niewygodnego posłania, po czym stanąłem na chwiejnych nogach. Natychmiast zakreśliło mi się w głowie, a sufit jakby przy tym zamienił z podłożem. Nie upadłem jednak. Utrzymałem równowagę. Wstrzymując oddech, próbowałem nasłuchiwać. Wszędzie panowała głucha i złowroga cisza...

### *Dzień drugi.*

Z trudem otworzyłem oczy. Nie potrafię stwierdzić, ile czasu spałem. Nie wiem, czy w ogóle zasnąłem? Nie umiem także określić, jaka była na powierzchni pora dnia. Czas, który niemal od zawsze wyznaczał ludzkie życie, teraz jakby nie istniał. Stał na dobre, gwałtownie zatrzymując się w miejscu.

Nie miałem zegarka. Nigdy ich nie lubiłem, bo ciągle gdzieś wszystkich bezlitośnie poganiały. Tak czułem. Te-

raz żałuję, że chociaż jednego, ostatniego nie zachowałem. Na taką właśnie sytuację. Jak wyznaczyć kalendarz, określić godzinę, jak liczyć, te beznamietnie wlekące się chwile? Postanowiłem sumować doby, ale jak? Od snu do snu, był to chyba jedyny sensowny sposób.

Niewiele wczoraj wymyśliłem, nic mi się także nie przyśniło. Może poza głośnymi eksplozjami potężnych stożkowych głowic atomowych, które były wymierzone w Polskę. Włosy nadal jeżyły mi się na głowie, skóra cierpła na karku, a zęby bolały niczym wyrywane paznokcie. Stop, ledwo zachrząściłem ochrypłym głosem.

Szukając odległego celu, nie chciałem marnować sił na bezproduktywne przekomarżanie się ze sobą. Postanowiłem sprawdzić zapasy. Tak naprawdę, to cały drugi dzień na tym mi właśnie upłynął. Liczyłem także na to, że po drodze wpadnę na jakiś genialny pomysł, który mnie z tego wyzwoli. Przecież i tak w końcu będę musiał stąd wyjść... a może to tylko niegroźnie wyglądający incydent, może nie jest aż tak źle? Ta myśl była ze mną od początku.

Zapaliłem kruchą drewnianą zapalną, jej jasne światło paliło się teraz na niebiesko. Po krótkiej chwili, kiedy dogasała, odpaliłem od niej lekko wygiętą białą świecę, która od razu buchnęła pełnym czerwonym płomieniem. Jej knot był nasączony specjalnym woskiem, który sam wymyśliłem. Byłem z tego cholernie dumny. Pomieszczenie natychmiast rozświetliło się ciepłym jałowym światłem, które rzucało na poczerwiałe ściany kubicznie porozciągane cienie.

Poczułem ostre ukłucie. Zaboląły mnie zażawione oczy, które od wielu godzin widziały tylko ciemność. Przetarłem je, ale niczego to nie zmieniło. Ból również nie

ustąpił. Zamknąłem je więc na dłuższą chwilę. Zobaczyłem wtedy niepokojące obrazy z przeszłości. Wysokie i wąskie świece, które płonęły na potężnym ceglany m ołtarzu w zabytkowej średniowiecznej Katedrze, i cudowny Ostrów Tumski, którego liczne i przepiękne zielone zakątki, odbijały się w krystalicznym lustrze przepływającej przez Wrocław kobaltowej rzeki. Odra była pełna śmiercionośnych wirów, a jej nurt pochłaniał wszystko, z czym tylko się zetknął. Na powierzchni była jednak niezwykle spokojna.

Nie mogłem złapać tchu... siedemnaście głębokich oddechów, po których nareszcie otworzyłem oczy. Wszystkie je liczyłem, zarówno wdechy, jak i wydechy. Trochę mnie to uspokoiło, a wzrok się unormował. Spojrzałem dyskretnie na boki. Pod wybielonymi ścianami stały metalowe regały, na których leżało rozliczne jedzenie, oraz inne niezbędne w takiej sytuacji rzeczy. Z drugiej strony sali zalegały dwudziestolitrowe baniaki z zimną wodą, duże puszki z wołowym mięsem, owalne konserwy z morskimi rybami, drobiowe pasztety, a także rozmaite warzywa konserwowe. Było tego wszystkiego niemal trzysta sztuk.

Powyżej w szczelnych opakowaniach spoczywał gruboziarnisty chleb, prostokątne i twarde niczym kamienie suchary, ciemna kasza, ryż w dużych pięciokilogramowych torebkach i różne makarony, których na oko było z pięćdziesiąt kilo. Na samym dole ustawiono wieloowocowe drzemy w podłużnych przezroczystych słojach, przesłodzone do granic rozsądku, niemal czarne konfitury, cierpkie kompoty i miód lipowy, który łagodził ból gardła, wszystkiego jakieś sto słoików. Ziarnista kawa z młyn-

kiem w komplecie, zielona herbata i brązowy cukier w żołnierskich opakowaniach, oraz trochę suszonych egzotycznych owoców, stało z tyłu.

Tuż obok, w czerwonym plastikowym koszu, leżały knorowskie zupy w proszku, pikantne meksykańskie sosy, i inne nic nieważące sypkie przetwory, które ostatecznie mogły uratować życie. Skład wody zawierał: tysiąc litrów nadającej się do picia, oraz dziesięć tysięcy litrów, tej mniej czystej, do użytku codziennego. Miałem też trochę piwa w zielonych butelkach o krótkich zgarbionych szyjkach, czerwonego słodkiego wina, oraz słodczy, a także amerykańskie papierosy z filtrem, i jedną butelkę mocnej polskiej wódki.

Od niej też zacząłem, goliąc dla kurażu sporą szklaneczkę, którą następnie przegryzłem podsuszaną i pachnącą kiełbasą jałowcową. Ogórki konserwowe oraz chleb ze smalcem i ze skwarkami, dopełniły posiłku. Jednego dziennie, żeby zaoszczędzić. Świński zapach wytopionego ze słoniny łoju, niebezpiecznie przyjemnie, stłoczył się ponad moją górną wargą. Sprośnię się wtedy obliżalem, jednocześnie przecierając brudnymi palcami te słonawe usta.

Doliczyłem się także fioletowej, ponemieckiej lampy naftowej z niewielkim zapasem paliwa, oraz stu wąskich wybielonych świec, i dziesięciu dużych pudełek zapalek. Trzy zapalniczki, które wcześniej znalazłem w kieszeni, były niemal pełne. Na jednej z nich widoczny był motyw z gołą, cycatą babką, która ujeżdżała skórzane siodełko od pełnego chromu motocykla. Uśmiech natychmiast pojawił się na mojej wynędzniałej twarzy, a zwisające przy baku

Harley'a Davidsona skórzane frędzle z rzemyków, jakby przy tym lekko powiewały.

Wagon jankeskich szługów leżał na najwyższej z półek, niczym śnieg na himalajskim Dachy Świata. Zerkalem na nie od dawna, ale ich nie ruszyłem. Silna wola, pomyślałem. Wściekły, odwróciłem głowę. Zobaczyłem grube wełniane koce, górskie śpiwory, a także kolorowe ręczniki, mosiężne garnki i srebrne sztuce. W kącie stała niewielka kuchenka gazowa z owalną czerwoną butlą, a niezwykle ostre noże z Ikei, spoczywały w szufladzie stołu, w wygrawerowanym matowym etui.

Cała masa środków czystości i odzieży ochronnej, wśród której były także specjalne, nieprzemakalne sztor-mowe płaszcze i przeciwpyłowe maski na twarz. Kilka par drogich firmowych butów z wysoką cholewą, i specjalne kalosze, które nie przepuszczały dosłownie niczego. Kosmiczna technologia, parsknałem śmiechem. Opatentowane, a jeszcze niedawno, były zaledwie w fazie prototypu. Kiedy je zdobyłem, wydawało mi się, że złapałem Pana Boga za nogi...

Broń też tam była. Stara strzelba z drewnianą kolbą i kompletem naboji, oraz sześćostrzałowy rewolwer wraz z pudełkiem amunicji. Naładowałem go, zakręciłem bębenkiem, odciągnąłem kurek. Przecież to takie proste, pomyślałem, kiedy przystawiałem go sobie do głowy. W myślach usłyszałem wtedy niemy krzyk umierających ludzi, i zobaczyłem okrutną śmierć, która zabierała ich ze sobą. Potężne wybuchy zagłuszyły błagalne wołanie, a ich pełne strachu i łez rozpaczycy oczy, w jednej chwili zwyczajnie wyparowały.